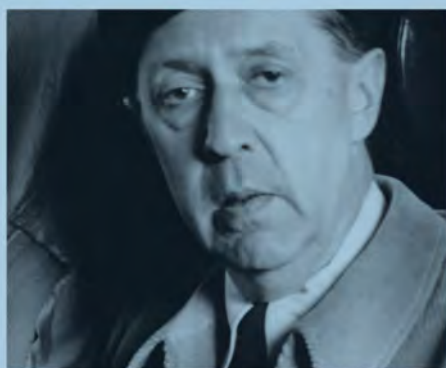




SÁNDOR
1949 MÁRAI
DZIENNIK
1956



CZY
TEL
NIK

SÁNDOR
MÁRAI
1949
DZIENNIK
1956

Wybór, przekład, opracowanie,
przypisy i postowie

Teresy Worowskiej

Czytelnik

Warszawa 2017

Tytuł oryginału
A teljes Napló

© Heirs of Sándor Márai, Csaba Gaal (Toronto)

Projekt oklejki i karty tytułowej
Lijklema Design. Karolina i Hans Lijklema

Na okładce wykorzystano portret fotograficzny
Sándora Máraiego z 1950 roku ze zbiorów
Muzeum Literatury im. Petőfiiego w Budapeszcie

Indeks osób: Hanna Wachnowska

Redaktor: Anna Kubalska
Redaktor techniczny: Hanna Bernaszuk
Korekta: Mariusz Zwoliński

© Copyright for the Polish translation
by Teresa Worowska, Warszawa 2017

© Copyright for the Polish edition
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2017

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”
ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa
Warszawa 2017. Wydanie I w tym wyborze
Ark. wyd. 25,6; ark. druk. 33
Skład: WMC, Warszawa
Druk: Drukarnia Wydawnicza
im. W.L. Anczyca SA, Kraków

ISBN 978-83-07-03412-6

1949

Po południu wysoko na skale Capo. Szesnaście stopni ciepła, przed wyjściem z domu spojrzałem na termometr. Pierwszego dnia roku widziałem dzieci biegające boso za piłką po plaży, a kiedy piłka wpadała do wody, wbiegały po nią.

Moje życie w ostatnich czasach ułożyło się dość szczególnie, ale coraz wyraźniej widzę – a tego dziwnego pierwszego dnia roku jaśniej niż kiedy indziej – że dzięki tej zmianie nie tylko wiele straciłem, ale też wiele otrzymałem od życia, cokolwiek miałoby jeszcze nastąpić.

W kraju od lat już tylko wegetowałem. Teraz warunki wegetacji są mgliste, ale żyję. A z tego życia któregoś dnia może wyrosnąć owoc, praca, twórczość. Nie jestem człowiekiem małej wiary.

Muszę surowiej traktować ten dziennik, bo wciąga mnie i pochłania wszystko inne; od lat to moja jedyna ucieczka, ale czasem sędzę, że uciekam do niego nie tylko przed światem, ale również przed pracą.

Znów w Sorrento. Jadę tam drugiego dnia roku, tym razem pociągiem, niemal w upał. Ale kiedy pociąg wjeżdża do Sorrento, ciepły płaszcz się przydaje. *Ogni giorno quattro stagioni*: w Neapolu i okolicach każdego dnia można przeżyć kilka pór roku. Tę podróż zainspirowała lektura, dawniejszy zapissek w moim dzienniku; kiedy czytałem *Tassa*, zastanowiło mnie, co mogło skłonić Goethego, ażeby,

posłużywszy się postacią Tassa, odpowiadać na te wszystkie stawiane sobie pytania. Ostatni raz byłem tu przed tygodniem, przypląnąłem statkiem podczas dużej wichury. Teraz pejzaż ukazuje milsze oblicze. Circumvesuviana pędzi wzdłuż muru, za którym u stóp wulkanu leżą małe miasteczka. Portici, Pugliano (tu dziś, w dzień świąteczny, przed budynkiem stacji kolejowej według wielowiekowych zasad perskiego rytuału odbywa się targ, barwny i lepki uliczny targ, gdzie mnóstwo kradzionych rzeczy, amerykańskie i angielskie koszule, wojskowe kurtki), Torre del Greco, Torre Annunziata, wszystkie przycupnęły w cieniu ognia i lawy, czasami bywają niszczone jak Pompeje i Herkulanum, ale potem odradzają się na tym kirze i całunie z lawy. Człowiek jest upartą istotą; kocha swój los, nawet jeśli jest nim lawa.

Dalej, za długimi tunelami i cudownym wiaduktem, przy Piano di Sorrento krajobraz robi się patetyczny, wyniosły i spokojny. Przypomina mi się, że przyjeżdżał tu na wypoczynek przybrany ojciec Marka Aureliusza, Antoninus Pius. Wokół Meta di Sorrento nakryte rogożą gaje pomarańczowe dojrzały już do zbioru.

Sorrento leży na stoku wzgórza w wytwornych kolorach szarości i bladej zieleni. Pewnie nieprzypadkowo Tasso właśnie stąd się wywodził. Pejzaż jest bukoliczny, elegancki, do dziś z kamieni odzywa się duch cinquecento, choć wszystko, co stworzył ten wiek, obróciło się już w ruinę. Marmurowy pomnik Tassa stoi sobie swojsko na środku rynku: jakby cała okolica, całe otoczenie czule obejmowały tę szlachetnie szaloną postać. Konstrukcja duchowa spotkała się tu z walorami krajobrazu, tak narodził się Tasso.

Jem spaghetti w jednej z oszklonych pomarańczarni. Kelner podaje mi owoc prosto z drzewa, wraz z gałązką i liśćmi.

Po obiedzie idę na wschód, ku skalistemu przyczółkowi półwyspu. Tu krajobraz ukazuje już zupełnie inną twarz, inną od tej, którą każdego dnia oglądam z Posillipo: Capri widoczne z bardzo bliska, dalej Wezuwiusz i małe miasteczka przycupnięte wzdłuż linii neapolitańskiego golfu, ogromny port Castellammare. Fryderyk II miał swoje przyczyny, by budować tu tak gorliwie! Linia wielkiej zatoki jest grecka, niezrównana, widoczna tylko tu – ta łagodność i wielkość, pełen godności i naturalny rytm linii rzeczywiście przypomina pulsowanie wersów *Odysei*. Jak pomnik Tassa, tak i epos wyrósł z tego krajobrazu.

W Castellammare do wagonu kolejowego wsiada młody marynarz. Chłopak, którego na stacji żarliwie obejmowali i całowali krewniacy, dźwiga zamkniętą na kłódkę skrzynkę okrętową. Co takiego może być w tej skrzyni? Zwyczajne rekwizyty codzienności młodego Włocha, obrazek z Matką Bożą, fotografia *di mamma*, prezerwatywy, dwie pary gaci, koszula, pocerowane skarpety, kromka *panettone*¹, bo to przecież Nowy Rok. Buty wyglansował do błysku, marynarskie ubranie, i to codzienne, i to odświętne, wyprasowano mu na drogę... A teraz jedzie zaciągnąć się na statek, na któryś z ocalałych statków włoskich, by rozpocząć na nim służbę gdzieś pomiędzy Ameryką Południową a Neapolem. Jest dobroduszny, zamknięty w sobie i zakłopotany. „Marynarz wypływa w morze...” – ten pierwszy wers bardzo dawnej ballady kryje wieczną prawdę. To zawsze taki piękny widok, gdy młody człowiek wyrusza z dusznych pieleszy domowych w przewianą wiatrami nieskończoność świata.

Melodyjność neapolitańskiego dialektu jest ochrypła i lubieżna. Tak śpiewnie odzywa się głęboko skrywana namiętność, słodkie, przyzywające, chrypliwe, zduszone, omdlewające pragnienie i monotonne, stałe napięcie. Tak zwracają się do siebie w tramwaju, z tym sensualnym, oleistym przyjęciem zachwala swój towar uliczny sprzedawca ryb i warzyw, tak rozmawiają urzędnicy na poczcie. To chrypliwe, lubieżne brzmienie przenika całą ich istotę, wychodzi z głębi, tak są nastrojone ich dusze i ciała.

Lajos nie rozumie, dlaczego z takim przestachem reaguję na każdego gościa, czy to Włocha, czy Amerykanina, czy Węgra; ale nie rozumie i zrozumieć nie może tego nikt, kto nie z naszego rodu, że pisanie to rytuał wymagający głębszej i bardziej bezwarunkowej samotności niż klasztorna. Potrafię stworzyć coś ludzkiego tylko wówczas, gdy pozostaję z daleka od ludzi.

¹ *Panettone* (wł.) – mediolańskie ciasto z rodzynkami i owocami kandyzowanymi.

Im dłużej żyję, piszę i czytam, tym mocniej doświadczam, że pomysł nigdy nie jest tak ciekawy, jak jego wykonanie, realizacja.

I nie rozumieją, że ta samotność nie jest „pychą”, lecz ostateczną, najgłębszą pokorą.

Rankiem piechotą do Bagnoli, stamtąd tramwajem do Pozzuoli. Siąpi. Idę brzegiem morza, południowe miasto ukazuje się teraz w brudnych, codziennych łąkach. To był w starożytności jeden z najważniejszych ośrodków ożywionego handlu z Egiptem, mieszkali tu Cycero i inne sławy; do dziś można obejrzeć ruiny willi złotoustego mówcy i cynicznego światowca.

Pozzuoli leży w magicznej zatoce, a cała ta okolica jest po dziś dzień tak ważna, że miasto zachowało swoją szacowną pozycję. Siedziba biskupstwa, piękne budynki. A jednak Pozzuoli nie należy już do Europy. To już całkowicie Południe, mogłoby się znajdować w okolicach Tunisu, tylko kolor skóry odróżnia tutejszych ludzi od Afrykańczyków. Życie też jest całkowicie afrykańskie. W południe dnia powszedniego dzieci roją się w kurzu ulicy jak muchy na targowisku. Kobiety siedzą przed domami wśród brudu i gawędzą.

Idę do amfiteatru i porządnie go sobie oglądam. Nie był to duży teatr, na widowni mogło się pomieścić około trzech tysięcy osób; dla Nerona zbudowano lożę wspartą na kolumnach z czarnego marmuru, on też tu występował, obok gladiatorów; budowla zachowała się w dobrym stanie i daje doskonałą możliwość odkrycia działania i struktury starożytnego amfiteatru. Na arenie urządzano również atrakcje wodne, widać konstrukcję akweduktu i kanału odpływu wody. Gladiatorów i dzikie zwierzęta trzymano w podziemnych klatkach, podobnie jak ofiary.

Wspinam się na najwyższy rząd ławek, zapalam papierosa i przyglądam się temu dziwnemu obrazowi. Okrucieństwo, tajemnica człowieka. Dlaczego człowiek jest okrutny, dlaczego buduje dla swoich ofiar cyrki, od czego chce się uwolnić lub co chce załatwić poprzez okrucieństwo?

Święty Paweł siedział tu przez siedem dni i rozmyślał nad tym. A potem ruszył do Rzymu i ogłosił, że wszyscy ludzie są jednej rangi. To nieprawda; ale wystarczyło, że ktoś to wypowiedział i świat się rozpadł.

I co tu ma dalej być? Przerażający obraz zatytułowany „Jak wyżyć?” nie wydaje się tak straszny pod niebem neapolitańskim, jak gdzie indziej – choć w życiu wzbudza ten sam lęk; w tym mieście mieszka milion ludzi i większość nie wie, w ogóle nie wie, z czego naprawdę żyje... Tak czy owak wyżyjemy tu i my, skubiąc niczym ptaki czy żebracy. Kiedy wyjeżdżałem z kraju, w duchu popędzałem dni i tygodnie, popędzałem czas, zmierzając ku niewiadomemu celowi, „zmianie”, „rozwiązaniu” – a teraz żyję według zupełnie innego rytmu, wolniej, ospalej, chciałbym przytrzymać czas, jakbym czuł i wiedział, że nie warto się spieszyć do „zmiany”; ten okres przejściowy jest czymś najlepszym, na co możemy liczyć.

Z Jánosem w dawnej kartuzji San Martino. Gdy jesteśmy tylko we dwóch, to najmilszy towarzysz podróży, bezstronny i doskonały obserwator. Oglądamy duże *presepe*¹, potem panoramę Neapolu, potem dawne obrazy przedstawiające wybuch Wezuwiusza, wreszcie ozdobne kopce i wspinałe łodzie królów neapolitańskich. To panoptikum jest ciekawe nie tylko dla Jánosa; mnie też mówi więcej o przeszłości miasta od wielu fachowych ksiąg.

Stąd idziemy do San Domenico Maggiore – jestem zdania, że ta bazylika jest czymś najdoskonalszym, co w tym gatunku można znaleźć w Neapolu; Jánosa szalenie interesują złożone na piętrze kaplicy dawne trumny z zabalsamowanymi mumiami niegdysiejszych władców Neapolu i innych dostojników. „Jak w kufrze” – mówi zamyślony. Rzeczywiście, ten pobożny lamus, gdzie drewniane pudła leżą jedne na drugich, a w każdym z nich margrabia czy książę, ta widmowa rupiecarnia, w której niedbale strzegą szacownych kości i w której materia

¹ *Presepe* (wł.) – szopka betlejemska.

ludzka wydaje się po prostu czymś w rodzaju rekwizytu podróżnego, robi wrażenie nie tylko na dziecięcej wyobraźni. Kto to widział, nie zapomni, podobnie jak nie sposób zapomnieć kościstego dominikanina o ciemnym spojrzeniu, który siedząc z założonymi rękami w drzwiach kaplicy, strzeże pudeł wyladowanych umarłymi niczym jakiś podziemny spedytor, ponury Charon, który w odpowiednim opakowaniu przewozi pasażerów przez wody Styksu i czasu.

Prawdziwe, wielkie życiowe przedsięwzięcia to najczęściej nie bohaterские czyny, lecz gry na cierpliwość.

Każdego dnia odkopuję dla siebie jakiś kawałek Neapolu. Dziś kościół Monteoliveto. Był bardzo bombardowany, ale już odnowiono najpiękniejsze części: relief Rossellina – przepiękne narodziny Jezusa! – nagrobek nieślubnej córki Ferdynanda I, Marii d’Aragona, piętę z terakoty z postaciami naturalnej wielkości dłuta Mazzoniego, w której artysta ukazał twarze swoich współczesnych w biblijnych kostiumach, Sannazara, Alfonsa II itd. Nie znam się wystarczająco na sztukach plastycznych, właściwie ledwo wiem o nich cokolwiek. Ale wielkiej, prawdziwej sztuki nie sposób „nie rozumieć” – ona woła, krzyczy, przyzywa, otwiera się i wyjaśnia samą siebie. Na płaskorzeźbie Rossellina nie sposób nie rozumieć ponadczasowej linii marmurowej dłoni Dziewicy, jej kształtu. Więc kiedy widzę coś takiego, ogarnia mnie jakiś rodzaj gniewu na oszukańczą sztukę naszego wieku, która poprzez symbole, przesadne, wykonane z rozmachem rysunki próbuje zastąpić tę pokorę, starannie, drobiazgowo i z pasją wypracowany szczegół, bez których nie ma prawdziwej sztuki. Może Picasso i Braque to wielcy artyści, ale jestem pewien, że to, co stworzyli, nie jest prawdziwą sztuką. Garnarcz z XV wieku był bardziej wiarygodnym artystą od większości naszych wielkich współczesnych. Ciało trzeba namalować albo wyrzeźbić tak, jak ono wygląda, a potem inaczej, podług wizji. Język formalny sztuki może się zmienić, jej treść nigdy. Manet, Renoir, Cézanne też przemówili językiem nowej formy, ale popatrzmy na ciało u Renoira, na jedwab u Maneta! To szwindel, co dziś robią, nic innego, tylko perwersyjna zabawa zdolnych ludzi, szwindel.

W sąsiednim klasztorze znalazł schronienie Tasso. Teraz to koszary karabinierów.

Na poczcie odbieram przysłany z Londynu egzemplarz dawnego niemieckiego wydania *Obcych ludzi*¹. Przeglądam tę książkę w kawiarni i z zaskoczeniem konstatuje, jak identyczny jest nastrój utworu sprzed dwudziestu lat z tym, co dziś znów przeżywam.

Życie jest naprawdę zaskakujące. Dziś w ulewne południe szedł z przeciwka neapolitańską ulicą czarny jak sadza Murzyn w płaszczu przeciwdeszczowym; musiał bardzo marznąć i biegł w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Miał wełniste, czarne jak tusz włosy wokół głowy, natomiast na czubku czaszki siwiał i widniało tam szerokie na dłoń pole włosów jasnoniebieskich. Nie chciałem wierzyć własnym oczom, więc poszedłem za nim, bo jeszcze nigdy nie widziałem Murzyna o niebieskich włosach. Powtarzam, to nie były włosy blond, siwe, nawet nie szare, tylko jednoznacznie niebieskie, głęboko, pastelowo niebieskie. Nie warto być małej wiary, są jeszcze różne możliwości.

Na sąsiednim fotelu u fryzjera siedzi młodzieniec o krostowatej twarzy. Fryzjer czesze go i goli z wielką starannością. Za dbającym o wygląd młodzieńcem stoi dwóch gości w przeciwdeszczowych płaszczach i z nabożnym skupieniem obserwują, co robi figaro z ich patronem. Amerykańskie gwiazdy filmowe nie są czesane z takim oddaniem jak ten krostowaty, pozbawiony czoła nad zrosniętymi brwiami osiłek o ciemnym spojrzeniu. W końcu przynoszą lusterko, dwóch forysiów staje za fotelem i wielki człowiek może przyjrzeć się w podwójnym lustrze, czy linia jego włosów jest wystarczająco doskonała, czy odpowiednie są fale i czy dość jasny brylantynowy błysk. Łaskawie daje znak ręką i wstaje. Wszyscy oddychają z ulgą. Fryzjer i adiutanci biegną podać mu płaszcz, czyszczą szczotką. Ważny człowiek ma na pal-

¹ Powieść *Obcy ludzie* (*Idegen emberek*) powstała w 1930 roku.

cach kilka pierścionków z diamentami i gruby złoty łańcuch na prze-gubie.

Kiedy wychodzi ze swoim orszakiem, pytam fryzjera, kim był ten aktor filmowy. „Człowiek interesu – mówi z przepaszającym uśmiechem – południowy handlowiec. Nowoczesny. Powojenny”. Nowoczesny człowiek interesu przed wyjściem wydmuchał nos we fryzjerską chustę. Fryzjer pieczołowicie złożył ją i odłożył na półkę pomiędzy resztę, po czym na moich oczach tę samą chustę zawiązał na szyi następnego gościa.

L. i chłopaczek leżą z wysoką gorączką, a ja wędruję między chorymi i w wolnych chwilach piszę trzecią część *Wyznań patrycjusza*. To taki materiał, że czasami czuję, jakbym trzymał w ręku substancję wybuchową: zapala się na papierze.

Jesienią może ożyje *Krew świętego Januarego*. Muszę znaleźć dla tej książki formę, która nie byłaby monologiem ani nie przemawiałaby w trzeciej osobie, to powinno być raczej coś takiego jak epos czy protokół policyjny. Na przykład tak, jakby centurion pisał meldunek o świętym Pawle. Jakoś tak, ale inaczej.

Krew świętego Januarego przywraca mnie do życia, dodaje sił. Praca już dawno nie sprawiała mi takiej radości. Chcę na nią przeznaczyć dość czasu, nie będę się więc do niej zabierać przed upływem roku. Niech ta krew do tego czasu wrze, bulgocze.

Południowcy to komedianci, urodzeni aktorzy. W Villa Ricciardi, gdzie mieszkam, znajduje się wyszynk – „villa” oznacza tu grupę domów, nawet osadę – do którego po południu zaglądamy sprzedawca ryb, sprzedawca drewna, rozmaici okoliczni włóczykije. Po południu wypiliśmy tam szklankę wina i wziąłem udział w świetnym przedstawieniu teatralnym: pewien chudy, rozczochrany starszy człowiek odgrywał przerażającą scenę z jakiegoś występu cyrkowego, kiedy to lwy zbun-

towały się przeciw treserowi, który w końcu ukląkł przed lwem, przeżegnał się i błagał go o życie. Widownia – tęgi winiarz w berecie, sprzedawca ryb w wojskowej kurtce, stolarz w spodniach, które podarowała mu L. – oglądali tę scenę z powagą krytyków teatralnych. Była to doskonała improwizacja rodem z komedii dell'arte; gesty, intonacja tego człowieka, jego aktorskie i efekciarskie zachowanie czerpało natchnienie z bardzo starej tradycji. Życie i teatr całkowicie się dla nich ze sobą mieszały, w czasach greckich tak samo jak dziś.

Otrzymujemy paczkę z Ameryki. W tych ciężkich czasach Laxowie są jak anioły, rodzice nie daliby nam więcej. Paczka jest uszkodzona. Na poczcie pytają, czy ją tak przyjmę. Naturalnie przyjmuję. Ukradziono z niej tylko karton amerykańskich papierosów, czyli dziesięć paczek chesterfieldów. Wszystko poza tym nienaruszone. Papierosy ukradziono na poczcie ostrożnie, fachowo, jak wypada. Tyle im się należało. A drugi karton papierosów pozostawiono mnie, adresatowi, również jak wypada, bo on z kolei mnie się należy.

Możliwe, że ten dziennik odbiera mojej pracy pewną ilość siły, uwagi i wewnętrzznego skupienia, jakie posiadam – ale może właśnie ten dziennik jest moim prawdziwym zadaniem, a wszystko inne stanowi tylko marnotrawstwo tych sił.

Jak Lope de Vega, który umierając, szeptem wyznał, że „nudzi go Dante”, tak szepczę i ja, gdy nikt mnie nie słyszy: nudzi mnie Goethe.

Ale jednocześnie, choć mnie nudzi, zawsze znajduję zdania, które szczególnie do mnie trafiają: *In jeder grossen Trennung liegt ein Keim von Wahnsinn*¹. I zrozumiałem dlaczego. Niezależnie od wszelkich konkretnych trudności i niebezpieczeństw chwila, w której opuściłem Węgry, była tragiczna.

¹ *In jeder grossen...* (niem.) – W każdej wielkiej rozłące ukryte jest jakieś szaleństwo.

Minęły cztery dni, podczas których udaje mi wygospodarować za ledwie parę minut tylko dla tych stron, na lekturę nie pozostaje już czasu. W takich sytuacjach naprawdę czuję się wygnańcem.

Do czytania, do prawdziwego, płodnego czytania potrzeba zapewne więcej energii i talentu niż do pisania.

Pomiędzy domami długiej, lecz szerokiej zaledwie na łokieć *via dei* Tribunali czasami zatrzymuje mnie szlachetniejszy fronton: w takich domach podwórze jest bielone, gotyckie lub renesansowe, a portier odpowiada obojętnie, że mieszka tu książę X czy margrabina Y. Arystokracja neapolitańska po dziś dzień żyje w takich zaułkach, *principe* strzeże swego pałacu znajdującego się pomiędzy jatką rzeźnika, straganem handlarza ryb, burdelem i dwoma kościołami. Podwórze Ospedale Pace lśni białością pośród brudnych uliczek, podobnie jak na tle burego średniowiecznego tłumu musiał się odbijać wyprany, wykrochmalony i wyprasowany, chłodny habit zakonnicy. Arystokracja pozostaje tu jeszcze w szczególnej symbiozie z ludem. Książęta i żebracy wszystko wiedzą o sobie nawzajem. Kiedy Neapol był bombardowany, burżuazja uciekła w pobliskie góry, ale biedacy i książęta pozostali w bombardowanym mieście w swoich norach i pałacach.

Chodzę w dziurawych butach. Pozostała mi wprawdzie jeszcze jedna para porządnych butów, ale oszczędzam je. Podobnie z ubraniem – noszę jedno, do całkowitego zniszczenia. Lubię chodzić w nędznym, wytartym ubraniu po uliczkach Neapolu. Piję kawę, przyglądam się ulicznym przedstawieniom albo czytam coś. Wieczorami słucham wiatru, gdy rycząc, siecze biczem morze. Coś się tu otwarło w moim życiu, idę ku czemuś, a coś innego całkowicie zostawiłem za sobą.

I już tylko na niewiele listów chcę odpisywać.

Kościoły Neapolu – a jest ich ze trzysta – w większości nie są klasycznymi gmachami sakralnymi; to raczej domy modlitwy wciśnięte pomiędzy kamienice; mieszkają w nich ludzie; nad wejściem do kościoła, na pięterku z mieszkania zakrystianina zwisają pieluchy i gacie; związane z danym kościołem osoby kościelne, świeckie i półkościelne w tylnych pomieszczeniach świątyni gotują i wykonują też zapewne wszelkie inne czynności życiowe: rozmnażają się, chorują i umierają w niej i wokół niej. Wśród tych trzystu kościołów jest zaledwie kilka typowych dla Zachodu – stojących osobno, zwieńczonych kopułą; tu na ogół świątynia związana jest z życiem, do niego przylega, pozostaje z nim w intymnej, organicznej wspólnotcie, w której potrzeby ludzkie i boskie są ze sobą całkowicie wymieszane i rzecz jasna nie można mieć dla kościoła specjalnych względów. A ponieważ obok z prawej i lewej stoją kamienice, a w nich warsztaty, burdele, knajpy, więc neapolitańczycy, idąc za naturalnym odruchem, z podobnym pośpiechem wstępują na chwilę do knajpy, do warsztatu czy do burdelu jak do kościoła, bo właśnie coś im się przypomniało albo czegoś potrzebują. A potem wychodzą z kościoła czy z burdelu, poważnie i uroczyście rozglądają się po ulicy, jedną ręką poprawiają krawat czy przeciągają po wysmarowanych brylantyną włosach, bo w gorączce modlitwy czy aktu miłosnego, a nawet podczas jedzenia pizzy krawat mógł się przesunąć, a włosy potargać, i zadowoleni włączają się z powrotem w codzienny wir życia, ula, kopca, Neapolu.

Dziś widziałem białego konia, w którego grzywę wpleciono nad czołem błękitną wstążkę. Przypominał starą pannę na rodzinnej fieście.

Jakiś człowiek bawi się z psem na ulicy: podrzuca kamyk, a pies wyskakuje, by go złapać. Od razu ustawia się wokół nich wianuszek gapiów. Policjant też przystaje, wszyscy w ciszy, bez uwag, cierpliwie i uważnie przyglądają się tej zabawie.

Przed południem wróciłem z Pozzuoli kolejką Cumana; na środku wagonu stanął nieogolony młody chłopak w sandałach bez skarpet i brzdąkając na mandolinie, zaczął śpiewać jakiś uliczny szlagier. Słuchano go nieruchomo, w skupieniu. Wszyscy coś mu dali, pięć lirów, dwa liry, papierosa. Występ traktuje się jako prawdziwą wartość, gra i umiejętność przedstawiania jest ważnym elementem życia.

Sprzedawca rachatlukum kroi w kostki swój towar i na czubku każdej kupki kostek kładzie kwiat mimozy. Żeby towar miał większy popyt.

Neapol jest wielki w swoich podwórzach; podobnie jak moje rodzinne miasto Kassa. Wracając z biblioteki, widziałem dziś na via Costantinopoli wielkie podwórze, które na wysokości pierwszego piętra było połączone biegnącym przez środek, pomalowanym na jasnoniebiesko, żelaznym mostkiem. Na jego poręczach ustawiono szereg marmurowych popiersi.

Istnieją trzy drogi życia: odysejska, jezusowa i faustowska. Reszta to podatnicy.

Śnił mi się ojciec. Mój zmarły ojciec przemawiał do mnie z gniewem, chciał mnie zabić. Ciekawym, jaki to starotestamentowy kompleks Edypa wyprowadziliby z takiego snu freudyści? Tymczasem jego znaczenie jest proste: śnię o ojczyźnie, ojczyzna jest moim ojcem i chce mnie zabić.

Potrafię chodzić dużo i szybko, myślę łatwo i z wielką siłą, mam niezłomną zdolność do pracy, panuję nad wszystkimi funkcjami ciała. A jednak nie podoba mi się mój stan zdrowia. Mam w sobie jakieś wewnętrzne drżenie i podekscytowanie, jakąś gorączkowość niczym paralityk przed szokiem. Muszę uważać z alkoholem, paleniem i czarną kawą. I więcej odpoczywać.

Wieczorem wiatr ustał. Spaceruję po wyżej położonych ścieżkach Parco Virgiliano. W godzinie zmierzchu pasterz prowadzi tędy duże stado owiec. Ma ostry, zakrzywiony kij, owce biegną ze spokojnym pobekiwaniem pośród kamieni niegdysiejszych willi Wergiliusza i Lukullusa. Ta okolica wciąż żyje tym, co u Homera i Wergiliusza jest już mitem.

Również w Bajach, pośród kamieni, w piwnicach dawnych domów, podobnie jak Biarritz, trwa przeszłość, nie tworzą dla niej muzeum, jak w Pompejach i Herkulanum; w ruinach pałacu Cezara stoi kurnik, w ogrodzie Porcji chrząkają świnię, w piwnicy domu Cycerona hodują trufle – dzisiejsze życie organicznie wrosło w przeszłość.

Wieczorem w radiu transmisja z procesu Mindszentyego. Wśród oskarżonych jest László Tóth, nie udało mu się uciec. Choć miałem na to nadzieję. Ten głuchy nieszczęśnik zaczyna swoje wystąpienie patetycznie: „Jestem mężczyzną i chrześcijaninem...” – ale przewodniczący natychmiast mu przerywa: „Proszę mówić o tym, jakie wykroczenie pan popełnił”. Więc on mówi. I inni również. Prymas odpowiada cicho, głosem człowieka złamanego, widać, że zupełnie go zniszczyli. „Jestem bardzo zmęczony na duszy i ciele...” – szepce w pewnej chwili. Pozostali mechanicznie jak wyuczoną lekcję recytują wyznania, które wymuszono na nich biciem. Słysząc, że nie „przyznają się”, tylko klepią wykuty tekst. Za każdym takim zeznaniem stoi niewidzialny, ale rzeczywisty oprawca z katowni przy ulicy Andrásyego 60, gotów jeszcze raz torturować ewentualnego buntownika przed jego straceniem.

Esterházy też tak mówi, trajkocze z gotowością. Wszyscy przyznają się do wszystkiego. Łagodzą tylko jakieś drobne szczegóły, prawdopodobnie tego też zostali wyuczeni, żeby wyznania nie były całkowitym przyznaniem się do winy. W taki sam sposób przyznawali się Tucha-czewski i Radek.

Rano idę do portu. Nie widzę żadnego wyjścia, ale po nocy czuję wielkie pragnienie, by odejść z tego świata, wszystko jedno gdzie. Patrzę na statki. Nie ma dokąd płynąć.

Wszystko zanika, niszczeje, staje się bezkształtne, rozpuszcza się, wszystko, w co wierzyłem, co miało dla mnie znaczenie, dla czego żyłem. To dziwne: w nicości kryje się jakaś euforia.

Komenda dzielnicowa policji w Posillipo przysyła wezwanie w sprawie mojego *soggiorno*¹. W niedzielę przed południem razem z Jánosem schodzimy spacerkiem ze wzgórza, zadowoleni, że o jedno zmartwienie mniej, wreszcie przysłano bezwzględnie obiecane pozwolenie na pobyt we Włoszech.

Urzędnik przyjmujący nas na komisariacie powiadamia mnie, że nasze podanie zostało odrzucone i wraz z L. w ciągu dziesięciu dni musimy opuścić Włochy. „Dlaczego?” – pytam. Urzędnik wzrusza ramionami. „Może ktoś się pomylił w Rzymie” – odpowiada obojętnie.

Południowym pociągiem jadę do Rzymu. Nie udaje mi się zdobyć pokoju w Ludovisi. Rzym, podobnie jak Neapol, pełen jest przybyłych w odwiedziny marynarzy. W końcu znajduję nocleg w Reginie, duży hotel jest drogi i zły. Wypakowuję się i dzwonię do madame C.² Prosi, żebym natychmiast do nich przyszedł, jej mąż akurat jest w domu.

Ambasador wysłuchuje mnie z poważnym, niemym oburzeniem. Widzę, że zdaje sobie sprawę, o co chodzi. Powiadamia mnie, że osobiście rozmawiał z sekretarzem stanu we włoskim ministerstwie spraw wewnętrznych, gdzie należy się zwracać o pozwolenie na pobyt; zaznaczył, że przypadek jest wyjątkowy i otrzymał obietnicę, że sprawa zostanie załatwiona. Madame C. słucha męża z oczami pełnymi łez. Ambasador jeszcze raz zapisuje sobie nasze dane i zaprasza mnie do siebie na jutrzejszy obiad, przed południem będzie rozmawiał z sekretarzem stanu. Następnego dnia w południe z rozpromienioną twarzą przyjmuje mnie w salonie; sekretarz stanu natychmiast nadał sprawie bieg, nasze *soggiorno* na czas nieokreślony zostało wysłane drogą telegraficzną do Neapolu. Madame C. całuje mnie. Ja nie potrafię wydusić z siebie słowa, dawno nie czułem takiego wzruszenia. Bo tu rzeczywiście szło o wszystko, nie o zwyczajne pozwolenie, tylko o wszystko. Jeślibyśmy go nie dostali, dwudziestego *carabinieri* zawieźliby nas do obozu koncentracyjnego.

Podczas obiadu ambasador opowiada, że w związku z procesem Mindszentyego sekretarza stanu bardzo zainteresował prawny aspekt

¹ *Permesso di soggiorno* (wł.) – pozwolenie na pobyt.

² Madame C. – Erzszi Paulay, aktorka, żona włoskiego dyplomaty, Vittoria Cerrutiego.

pojęcia Korony Świętego Stefana. Proponuję, że napiszę mu o tym krótką informację.

C., który jest człowiekiem miłkliwym, podczas obiadu robi się wyjątkowo rozmowny. Zwraca moją uwagę na książkę pewnego niemieckiego historyka nazwiskiem Jennings, który żył około 1800 roku i był zdania, że Luter, dążąc do reformacji, rozkruszył siłę Niemców. Według Jenningsa w tym czasie kościół sam dojrzał już do oczyszczenia – święty Ignacy Loyola też tego chciał – zaś Luter poprzez skutki reformacji, wielki rozpad, bunty chłopskie uniemożliwił wówczas siłom niemieckim uzyskanie hegemonii w Europie: czyli rozkruszył ich siłę.

Wychodzę od państwa C. poruszony, po raz pierwszy od dłuższego czasu zetknąłem się z bezinteresowną ludzką dobrocią.

Po południu, wiedziony nagłym pomysłem, zachodzę do pewnego włoskiego wydawcy, który – jak się niedawno przypadkowo dowiedziałem – wydał bez mego pozwolenia *Dziedzictwo Estery*. Przyjmuje mnie niewysoki człowieczek w okularach, mruga, drapie się w głowę, coś mruczy. Robi się smutny jak dziecko przyłapanie na zakazanej zabawie. Naturalnie nie wypłaca mi ani grosza, tylko obiecuje.

Z powrotem do Neapolu. Wielki spokój. Wedle prawa włoskiego mam już bezwarunkowe prawo powiesić się na którymś z bujnych drzew oliwkowych w pobliskim Parco Virgiliano.

Odwiedzam Benedetta Crocego. Zaprosił mnie na drugą po południu. Mieszka we wschodniej dzielnicy Neapolu, w tym mrowisku, ulu, termitierze, która ciągnie się od placu Trinita Maggiore w stronę morza. Mieszka w dziwnym pałacu przy niewielkim zaułku – z brudnej, wąskiej uliczki otwiera się przestronna klatka schodowa, wnętrza domu też przypominają pałac, schody są szerokie, płaskie, jak w zamkach królewskich. W tej okolicy we wszystkich sklepikach mówią o nim jak o kimś w rodzaju pogańskiego świętego, z szacunkiem i sympatią; sprzedawca ryb, właściciel trafiki uważają go za swojego tak samo jak

Ortega y Gasset. Wchodzę na drugie piętro. Solidne drzwi, dzwonię, długo czekam. Otwiera młoda kobieta, jest zakłopotana, powiada, że senator czeka. Po kilku minutach wprowadza mnie do Crocego.

W dużym gabinecie stoły na krzyżakach, pulpit, książki. Croce siedzi przy oknie, coś dyktuje młodej dziewczynie. Ujrzawszy mnie, powoli podnosi się i, kulejąc, podchodzi ku mnie. Niska postać, ubrana w ciemnoniliową, grubą, ciepłą bonzurkę. Ma osiemdziesiąt trzy lata, ale nie jest zgrzybiały. Cierpi na jakąś chorobę skórą, jedna dłoń koloru lila, z łuszczącą się skórą i pokryta gęstym owłosieniem, druga w rękawiczce. Z uszu też schodzi mu skóra, kołnierz bonzurki zasypany jest płatkami złuszczonego naskórka. Nie używa okularów, mruga klejącymi się oczyma. Rozmawiamy po francusku. Pyta, czego oczekują na Węgrzech. Odpowiadam, że rozgoryczeni i pozbawieni nadziei oczekują wojny, bardziej trzeźwi jakiegoś rozwoju sytuacji, konsolidacji sił w krajach Zachodu, by zmusić Sowiety do wycofania się; a wszyscy chcieliby wolności, tego, by obecna sytuacja uległa zmianie. Kiwa głową.

– Wolność – zaczyna prędko – na świecie jest problem z wolnością. Masy nie chcą wolności. Niemcy też nie chcą wolności. Masy nigdy nie chciały wolności, nigdy, w żadnej epoce. To było zawsze zadanie elity, elity duchowej czy historycznej, żeby chcieć wolności, a jeśli nie mogła jej uzyskać, starała się przynajmniej utrzymać w świadomości ludzi potrzebę wolności, *le besoin de la liberté* – powtarza cienkim, szorstkim głosem i podnosi do góry palec chorej, pokrytej liliową skórą ręki. – Komuniści też nie chcą wolności – mówi i mruga. – To zrozumiałe. To tyrani, nie socjaliści. Proszę pana – mówi – Mussolini też był tyranem. Faszyści zostawili mnie w spokoju tylko po to, by pokazać światu, że nie są takimi barbarzyńcami, jakimi w istocie byli. Ale tu mieszkałem, w tym pokoju, tu pracowałem w latach faszystów, dla siebie. Jak pan myśli, czy pozwolono by mi na to w Sowietach?

– Nie – odpowiadam. – W Sowietach nie pozwolono by panu milczeć. Zmuszono by pana do mówienia, i to do mówienia tego, czego oni chcą.

Potakuje.

– Jak pan myśli – pyta znów – jaki los czeka węgierskich liberałów? Społeczną, duchową elitę?

– Jeśli bolszewicy będą mieli dość czasu – odpowiadam – wyniszczą i zastraszą także i tę elitę. A resztę deportują.

– Tak – potakuje i mruga. – Kiedy wypędzono Mussoliniego, ciągle do mnie przychodzili z rozmaitymi prośbami, żebym przyjął to czy tamto stanowisko. Byłem słaby, coś czasem przyjmowałem. Ale teraz już nigdzie nie chodzę, tylko pracuję w domu. – I wskazuje na książki. – Uczony, pisarz nie może robić nic innego. A pan, co pan pisze? – pyta uprzejmie. – Powieści? To dobrze – mówi wielkodusznie, jakby wybaczając.

Zwyczajny, mądry, zawsze chwytą istotę rzeczy. Kiedy wypowiadam kilka uprzejmych zdań, ze śmiechem unosi ręce do góry, ale widzę, że moje słowa sprawiły mu przyjemność. Zdaje sobie sprawę z tego, że we Włoszech stanowi taką samą atrakcję, jak Wenus Kallipygos czy katedra w Mediolanie; należy mu się uznanie obcokrajowców.

Drepcząc, odprowadza mnie długim korytarzem aż do przedpokoju. Sam otwiera mi drzwi, czeka, aż zejdemu po schodach.

Croce jest jednym z duchowych ojców Europy. Chce liberalizmu i wolności. Sądzę, że ma rację, nawet jeśli to tylko pobożne życzenie, bo masy nie chcą już ani liberalizmu, ani wolności, a jedynie zabezpieczenia przed groźbą bezrobocia, choroby i starości. A poza tym tanich sztucznych szczęk z kasy chorych i regularnie wypłacanych należności za nadgodziny. Nie chcą niczego więcej. Ale Croce ma rację: trzeba chcieć czegoś więcej, wolności i liberalizmu w imieniu tych mas; fakt, że wolność i liberalizm mogą na tym świecie mieć ludzkie oblicze tylko pod strażą socjalistów.

Oficer policji, ten sam, który przed tygodniem oświadczył, że muszę opuścić Włochy, ponieważ zostaną stąd wydalony, teraz, kiedy ministerstwo zmieniło dyspozycję i skazało mnie na dożywocie, odwiedza nas po południu i osobiście doręcza zezwolenie na pobyt. Ryżawy blondyn, bardzo dobrze ułożony młody człowiek, pochodzi z Amalfi. Powiada, że razem z rodziną mieszka w pobliżu, na Posillipo, i zaprasza nas wszystkich na kolację, ponieważ ma piękny taras. Na pożegnanie za żadną cenę nie chce przyjąć kartonu amerykańskich papierosów, które miałem zamiar mu подарować.

W miejsce utraconej ojczyzny otrzymałem więc na jakiś czas nową. Po wizycie oficera policji wyruszam w nowej ojczyźnie na spacer, ku cypłowi Posillipo. Wieje silny wiatr, sosny skrzypią pod naciskiem tramontany. Słońce właśnie skryło się za Kume. Stoję w mroku i patrzę na morze. Piękna ta ojczyzna i bardzo stara. Mądra, obojętna. I teraz, kiedy znów mam gdzie żyć, co poświadcza pisemne zezwolenie – po raz pierwszy od wyjazdu – surowo i z wielką siłą zaczyna mi brakować mojej dawnej ojczyzny.

János wyznaje, że od kilku dni nie chodzi do szkolnej stołówki na wspólny obiad, zostaje w pustej klasie i pogryza resztki chleba z drugiego śniadania, bo wstydzi się swego ubóstwa językowego wśród swobodnie rozprawiających podczas obiadu dzieci włoskich. Mnie również bardzo to smuci, ale nie mogę mu pomóc.

Jest małym bohaterem, kiedy co rano w czarnym płóciennym mundurku szkolnym rusza do szkoły, między Włochów.

T. i inni przyjaciele z Budapesztu w zawołany sposób powiadają mi, że przyjaciele sukcesywnie wykradają z naszego mieszkania pozostawione tam książki i sprzęty – z zamiarem ratowania. Jeśli kiedyś tam wrócę, moje rzeczy będą na mnie czekać w dziesięciu różnych miejscach. Ale to wszystko nie ma już znaczenia.

Spróbuję teraz przez trzy miesiące nie zajmować się niczym innym – nawet światem – poza trzecią częścią *Wyznań patrycjusza*, Neapolem, morzem i wiosną.

I dla kogo to wszystko? Po węgiersku nie sposób będzie tego wydać, może, bardzo może, kiedyś, w przyszłości po niemiecku, po angielsku, z wielkimi trudami i zachodami... A tymczasem trzeba wyżyć, trzy

osoby na obczyźnie bez żadnych dochodów i pomocy. Jeśli nie spotka nas wypadek i będę się liczył z każdym nędznym lirem, nasze zasoby wystarczą do końca roku.

Stendhal od razu zrozumiał – czego Goethe nie zrozumiał do końca życia – co jest we Włoszech prawdziwą osobliwością. Nie zabytki i nie krajobraz; to wszystko jest cudowne, ale drugorzędne. Prawdziwą osobliwością jest tu namiętność, wrodzona skłonność Włochów do *passion*, do której w tak spontaniczny sposób nie jest zdolny ani Francuz, ani Anglik, ani Niemiec. Namiętność jest u Francuza manierą, u Niemca metodą, u Anglika chyba manią – ale u Włocha istotą życia, podstawowym przedsięwzięciem. Oszaleć dla kobiety, zabić kogoś w politycznej pasji, bez rozmysłu, w chwilowym porywie – kilka miesięcy temu w parlamencie pewien Sycylijczyk strzelił do Togliattiego; a tymczasem w Paryżu Krawczenko¹ i jego przeciwnicy sprzeczą się od tygodni! – dokonać, nie bacząc na skutki, w nagłym wybuchu, czegoś bezcelowego, odgryźć przeciwnikowi nos: to jest pasja, prawdziwy włoski styl. Z niego wyrosły wszystkie inne style, nawet renesans.

János ma osiem lat. Rozumny, doskonały obserwator, w domu nie może się zawieruszyć, wie, gdzie co jest schowane. Na nas, na swoje otoczenie patrzy badawczo, bystrym okiem i dokładnie zna nasze słabości. Jest bardzo emocjonalny i szczególnie przekorny, uparty. Jego stosunek do nas nie jest najszcześliwszy: wie, że nie jesteśmy jego prawdziwymi rodzicami, więc szuka w nas towarzyszy zabaw. Boję się, czy jego przekora nie zmieni się z czasem w agresję, która zwróci się przeciw nam. Ale jego obecna wielka samotność skłania nas do łagodności: jest sam wśród włoskich dzieci, poza nami nie ma nikogo, więc nie po-

¹ Wiktor Krawczenko – inżynier radziecki, który uciekł na Zachód i w 1946 roku wydał w Nowym Jorku książkę *Wybrałem wolność*. Była to jedna z pierwszych relacji o sowieckich obozach koncentracyjnych. Francuski komunistyczny tygodnik „Les Lettres Françaises” ogłosił, że książka jest fałszerstwem. Krawczenko w 1949 roku wytoczył pismu proces o oszczerstwo i wygrał go.

trafię go traktować z prawdziwą surowością. Ma poczucie humoru, nie jest żarłoczny. Spontaniczny, o dobrym sercu. Ale męski i zdecydowany. Nie dostrzegłem u niego dotąd żadnej szczególnej zdolności, ale jest tak doskonałym obserwatorem, że tylko dzięki samej tej właściwości da sobie radę w każdym zawodzie.

Jedno z niejasnych słów *Ojciec nasz*: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom?”. Myślę, że w tym zdaniu akcent pada nie na fakt przebaczenia, lecz na słowo *jako*.

20 lutego

Z dzisiejszym dniem mój paszport utracił ważność. Nie mogę się zwrócić do tego rządu o nowy dokument – mogłem od niego przyjąć tylko ten jeden na wyjazd; paszport, który od dziś jest nieważny. Dziś zatrzasnęły się wokół mnie kraty cudownego, wspaniałego, ale jednocześnie trochę strasznego więzienia, kraty Italii. Od dziś będę mógł podróżować albo na fałszywych papierach, albo z paszportem bezpaństwowca – jestem *apolide*, bezdomny. Dlatego otrzymałem *indeterminato soggiorno*; dają je tylko wygnańcom.

Pierwszy wiosenny wieczór, 20 lutego, w powietrzu słodycz o zapachu mimozy, na *via Roma* tłum spaceruje bez płaszczy, z głośników płyną słodkawe melodie, sprzedają krawaty; nad morzem zawisła ciepła mgła, kobiety pawią się i wdzięczą.

Wchodzę do kościoła *Incoronata*, w popołudniowym świetle wyraźniej widać freski Giotto czy któregoś z uczniów jego szkoły. Barwy są blade, ale rysunek żywy, ludzki, naturalny. W kościele siedzą samotni ludzie, najwyraźniej nawet się nie modlą, nie skupiają na Bogu, tylko siedzą. W Neapolu niewiele znajdzie się miejsc publicznych, gdzie można by odpocząć, miasto jest w nieustannym ruchu, pośpiechu. W kościele można sobie przynajmniej spokojnie posiedzieć; Pan Bóg jest cierpliwym gospodarzem.

Muszę zrobić rozrachunek, choć to przykra czynność. Pracuję, piszę książkę, po niej chcę napisać sztukę, ale rękopisy schną w szufladzie, świat nie potrzebuje tego, co piszę. To może się zmienić, wiem, że kiedyś będzie inaczej, ale do tego czasu musimy z czegoś wyżyć, na obczyźnie, zdani tylko na siebie. Co z tego będzie? Tylko Opatrzność może pomóc. Ale czy pomoże – a wierzę w to – czy nie pomoże, i tak nie mogę robić nic innego, tylko to, co robię: dzień w dzień siadać do stołu i ciągnąć tę niedającą żadnej nadziei, pozbawioną odzewu pracę. [...] Ten rozrachunek to rzeczywistość. Jeśli nie spotka nas żadne nieszczęście, do końca roku – mam nadzieję! – jakoś się utrzymamy; ale dlatego musimy sprzedać dwa pozostawione w Szwajcarii futra, bo gotówki wystarczy mi tylko do końca sierpnia. Precjoza, które nam dosłano dzięki pomocy Ó., pozwolą na przeżycie dalszych dwóch, trzech miesięcy. Niemieckich honorariów nie sposób uzyskać. Tóth niedawno cztery tygodnie bawił w Szwajcarii, ukrywał się, bym nie mógł go poprosić o przekaz, sam się z ostrożności nie ujawnił, napisał tylko przez znajomą aktorkę z Bazylei list, żeby mieć alibi. Nie dziwi mnie to, już nic mnie nie dziwi. Dlaczego ten człowiek miałby być uczciwszy czy bardziej obowiązkowy od Szwedów, Hiszpanów, Włochów czy Węgrów? Moje książki nikogo nie obchodzą, armia agentów, która żeruje na życiu umysłowym, szuka tłustszego kąska. Tak oto przepada człowiek i książka, do czasu – bo z całych sił, całą duszą wierzę w zmianę. Dotknęła mnie teraz wielka niesprawiedliwość, ale to dobrze. To próba, ofiara, próbę trzeba przyjąć, a ofiarę złożyć.

Gruba, brudna neapolitańska babka prowadzi za rękę małe dziecko słoneczną ulicą, nagle przystaje i z nieoczekiwanym zachwytem spogląda na wnuczka, dotyka trzema palcami ust i cmokając, posyła mu pocałunek. Robi to bez żadnej szczególnej przyczyny, ot, bo jest szczęśliwa z dzieckiem. A potem toczą się dalej, za rękę, brudni, grubiutcy, słoneczną ulicą, babka i wnuczek.

Na via Roma, najruchliwszej ulicy, sprzedawca męskiej galanterii przywiązał przed sklepem żywego pawia. Ten barwny ptak jest sku-

teczną reklamą, wszyscy przystają, przyglądają się, przemawiają do niego.

To jakaś skomplikowana i niekończąca się partia szachów, którą prowadzę ze światem: piszę książkę, a jednocześnie rozważam, że jeśli L. nie zdoła sprzedać naszych futer w Genewie – z czego moglibyśmy żyć przez dwa miesiące – trzeba je będzie przesłać B. do Zurychu, bo może tam się uda. Jeśli T.¹ nie zapłaci, to może poprzez Hiszpanię będę próbował coś zrobić z rękopisem o Judaszu². Tak wygląda ta partyjka szachów. I potrwa ona jeszcze bardzo długo. Jeśli nie zdołam wkrótce przetłumaczyć i opublikować *Wyznań patrycjusza*, we wrześniu trzeba będzie sprzedać pierścioneł i bransoletę, co może wystarczy na trzy miesiące. Tak gram w szachy i wiem, że mną też ktoś gra w szachy, Bóg i Szatan.

Z Jánosem w teatrze. W niedzielę przed południem siedzimy na widowni Teatro delle Palme i oglądamy neapolitańską sztukę *Pulcinella sulla luna* o bardzo żywej akcji. Pierrot, Colombina, znane postaci nic się nie zmieniły. To prawdziwy teatr, nie sztuka „dla dzieci”, tylko prawdziwy, szczerzy teatr, prateatr, bardzo rozwinięty, ale i liczący się z oddziaływaniem niuansów, uczuciowy i prostacki, śmieszny i wzruszający. W łóżkach i w fotelach widowni siedzą dzieci i dorośli, w teatrze różnica wieku nie ma znaczenia; Pierrot dostaje kopniaka w tyłek i wszyscy odczuwają głębszą symbolikę tej sytuacji, zrywają się oklaski, János też klaszcze. Mówi potem, że teatr jest ciekawszy niż kino.

Szekspir miał łatwo! Czerpał z niewyczerpanego. Gdziekolwiek spojrział, kłębiło się od „bohaterów dramatu”. Inspirowało go życie królowej Elżbiety, która kazała ścinać głowy wszystkim, nie tylko swoim kochankom i dworakom. Pamięć Henryka VIII była jeszcze żywa –

¹ Mowa o wydawcy hamburskim Máraiego.

² Chodzi o powieść *Trzydzieści srebrników*.

czasów, kiedy władza bez wahania wysyłała na szafot ludzi, którzy posiadali przekonania, jak Johna Fishera, który „umarł z radością”, ponieważ był biskupem i nie chciał uznać Kościoła anglikańskiego. W czasach Szekspira dramatopisarz wyglądał przez okno i od razu znajdował temat na ten dzień. A dziś pieką na wolnym ogniu milion ludzi, miasto czy kraj, i to nie jest „dramat”, tylko informacja prasowa.

Odwiedzam neapolitańskiego prawnika mieszkającego w kamienicy przy jednej z przecznic Riviera di Chiaia, bo potrzebuję pomocy prawnej przeciw rzymskiemu wydawcy, który bez umowy ze mną wydał *Dziedzictwo Estery*. Zaułki Neapolu mają wspaniałe, wielkie zaplecza. Kamienice przy nich położone otwierają się na przestronne podwórza, szerokie klatki schodowe, wewnętrzne oszklone ganki, zabudowania gospodarcze, przy których wznoszeniu nie żałowano miejsca ni materiału. W mieszkaniu adwokata dużo książek. Nie wiem, czy je czyta. Ale zaczynam rozumieć, że to miasto jest bardziej tajemnicze niż sądził Baedeker.

Piszę najniebezpieczniejszą część książki: na kilku stronach muszę określić, czym jest mieszczaństwo, co takiego słusznie atakują w nim jego współcześni przeciwnicy, a co jest jeszcze witalne. Jaką rolę może jeszcze odegrać i co z tej roli już obumarło.

W nocy wiersz Apollinaire'a *Do Italii* i cudowny hymn Claudela do świętego Franciszka. Wierszowi Claudela udaje się mnie ukołysać, pogodzić z losem, zasypiam spokojny. Gdy tylko zdobędę trochę pieniędzy, muszę pojechać do Asyżu.

Dziś pierwsza wiadomość ze Szwajcarii: znajomy ma dobre widoki na sprzedaż pozostawionego tam futra. Życie literackie nie jest całkiem beznadziejne.

Moja matka, o której od tygodni nie miałem żadnych wieści, dziś wreszcie odpowiedziała na mój niespokojny telegram. Żyje. Ta informacja szczególnie mnie uspokaja. W moim wieku świadomość, że się ma żyjącego rodzica, przynosi wielkie uspokojenie.

Appendice Stendhala, który – w rok po pierwszej podróży do Włoch – autor dołączył do swoich notatek, przekonuje mnie, że „aneks” jest zawsze potrzebny; człowiek, który nie czyta – i nie pisze – tego, co wcześniej przeczytał i napisał, wykonuje połowę pracy. Z *Appendice* dowiadujemy się – zawsze – o tym, jaki był pierwotny plan, którego nie udało się zrealizować.

Pierwotnego zamysłu nigdy nie udaje się zrealizować.

Dwa dni, podczas których w końcu napisałem tych kilka stron *Wyznań patrycjusza* dających tej książce kościec i uzasadnienie, sens. Czy istnieje jeszcze rola dla mieszczaństwa? Postawienie tego pytania jest istotą książki, nawet jeśli nie potrafię na nie odpowiedzieć.

Po południu byłem w okolicy piazza Amedeo, w Instytucie Francuskim, centrum kultury ambasady francuskiej, gdzie wystawiono obraz jakiegoś nieznanego malarza. Cóż to za beznadziejna, anielska, nadająca się tylko dla świętych profesja, malowanie! Prawie tak samo beznadziejna jak pisanie.

Nastrój ośrodka francuskiego znajomy i przyjemny. To inna Francja, ta więcej warta, z dobrych wspomnień. Po raz pierwszy od miesięcy znajduję na obczyźnie coś znajomego, swojskiego. Będę tu częściej przychodził.

Z Instytutu Francuskiego schodzę dawnymi uliczkami dzielnicy Chiaia na brzeg morza. W tej części miasta nie ma zaułków, to dawny, elegancki, romantyczny Neapol. Neapol zamożnego mieszczaństwa. Jaka to wielka siła, mieszczaństwo, nawet w jego śródziemnomorskiej

odmianie! To nieprawda, że ta siła się wyczerpała, przestała tworzyć, jest niepotrzebna.

Pewnie to lekkomyślność, ale dziś rozporządziłem, by z tej niewielkiej sumy, która mi się należy w Niemczech, został opłacony tłumacz, który na mój koszt i moje ryzyko przełoży na niemiecki rękopis *Wyznań patrycjusza*. W przyszłości muszę pracować w ten sposób, bo po węgiersku nie mogę się przebić. I chyba to jest najsmutniejsza rzecz, jaka w ostatnich czasach mnie spotkała.

Jasna, księżycowa noc. Długo nie zasypiam i widzę od środka, w zimnym świetle całą beznadziejność naszego życia.

Rankiem głośna kłótnia. Przyglądam się z okna – nie słucham, tylko przyglądam się – tej neapolitańskiej scenie. Na balkonie domu naprzeciw stoi młoda kobieta i wykonując obiema rękami płynne ruchy, wykrzykuje jakieś oskarżenia do tłumu zebranego pod balkonem. Tłum czasami odpowiada pomrukiem. W oknie sąsiedniego domu, na parterze goli się mężczyzna, obojętnie przysłuchuje się wysokiemu c krzyczącej kobiety i chóralnemu basowemu pomrukowi tłumu; czasami jak dyrygent daje im znak brzytwą.

Jedną z tajemnic wygnania jest osiągnięcie pozbawionej urazy rezygnacji z wszelkich zewnętrznych wymagań. A drugą: by w żadnych okolicznościach nie rezygnować z wymagań wewnętrznych.

Po południu idę do biblioteki British Council czytać gazety. W mieście są trzy obcojęzyczne sale lektur – amerykańska, angielska i francuska. W tej ostatniej są najlepsze gazety, w amerykańskiej najwięcej tytułów, a w angielskiej najwygodniej się siedzi. I wolno palić.

„Człowiek nie jest wolny wtedy albo dlatego, że jakiś System deklaruje wolność obywateli. Człowiek jest wolny tylko wtedy, gdy on sam – niezależnie od Systemu, narzucającego mu życie wśród ograniczeń i obsesji – oświadczy, że jest wolny”.

(fragment)

Sándor Márai (1900–1989) – wybitny węgierski prozaik i eseista, znany polskiemu czytelnikowi m.in. jako autor *Żaru*, *Księgi ziół*, *Wyznań patrycjusza*, a przede wszystkim jako autor pisanego przez całe życie *Dziennika*, pełnego wnikliwych zapisków o otaczającym go świecie, społeczeństwie, kulturze i sztuce.

Dziennik 1949–1956 – tom drugi z planowanych pięciu – obejmuje początkowe lata emigracji pisarza, którą rozpoczął pod koniec 1948 r. we Włoszech, by w 1952 osiedlić się w USA.

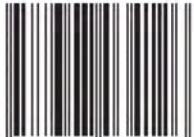
We Włoszech był szczęśliwy. Znalazł tam niemal wszystko, czego potrzebował do życia – piękno starożytnego krajobrazu, doskonałe wina, prostotę posiłków; cenił też urok i uprzejmość Włochów. Ale musiał utrzymać rodzinę, a to od pierwszych dni emigracji stanowiło w Europie wielki problem. Nieoczekiwana odmowa przedłużenia pozwolenia na pobyt w Italii przyspieszyła decyzję o wyjeździe do USA.

Ameryka pociągała go i jednocześnie przerażała. Niestety najczęściej dominowało uczucie przygnębienia, pogłębione długimi okresami niemocy pisarskiej. Uzyskanie wewnętrznej zgody i akceptacja Ameryki przychodziły Máraiemu z wielkim trudem.

Tragiczne wydarzenia rewolucji 1956 r. na Węgrzech ostatecznie zamknęły pisarzowi drogę powrotu do ojczyzny, wiedział, że pozostałą część życia będzie musiał spędzić na obczyźnie.

www.czytelnik.pl

ISBN 978-83-07-03412-6



9 788307 034126